

प्राच्यविद्या पत्रिका

东

方

观

察

مجلة الاسنشرق

POLSKIE TOWARZYSTWO ORIENTALISTYCZNE

PRZEGLĄD ORIENTALISTYCZNY

PANSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

WARSZAWA

4 (72)

1969

KWARTALNIK



## SPIS TREŚCI

### ARTYKUŁY

Witold Tyloch, <i>Problemy orientalistyki w ćwierćwieczu PRL</i>	233
Tadeusz Pobożniak, <i>Gandhi a Polska</i>	331
Mieczysław J. Künstler, <i>Ma Żung</i>	337
Stanisław Piłaszewicz, <i>Z dziejów literatury Hausa</i>	347

### UTWORY LITERACKIE

Abig Awakian, <i>Ten maleńki ciasny świat</i> (z ormiańskiego przełożył Bohdan Gębarski)	353
Bhasa, <i>Sen</i> (z sanskrytu przełożył Maria K. Byrski)	359
Yaşar Kemal, <i>Szerszeń</i> (z tureckiego przełożyła Małgorzata Łabęcka-Koecherowa)	371

### MATERIAŁY I NOTATKI

Maria Składankowa, <i>Pamięci prof. Jana Rypki</i>	375
Franciszek Tokarz, <i>W kwestii transkrypcji i spolszczania wyrazów sanskryckich oraz wyrazów prakryckich pali i ardhmagadhi</i>	379
Eugeniusz Słuszkiewicz, <i>Uwagi w kwestii spolszczania wyrazów sanskryckich</i>	383
Maria Juszkiewiczowa, <i>Japoński zespół tańca i pieśni</i>	385
Anna Kowalska-Lewicka, <i>Polska misja naukowa w Mauretanii i Senegalu</i>	389
Joanna Mantel-Niećko, <i>Polska wyprawa alpinistyczna w Etiopii</i>	390
Ludomir Rubach, <i>Dotychczasowa działalność TPP-I</i>	391

### RECENZJE

#### Z KSIĄŻEK

Anna Mrozek, <i>Koran a kultura arabska</i> (Ananiasz Zajączkowski)	393
Abu Nasr Muhammad Ibn Turhan Ibn Uzlug al-Farabi, <i>Państwo doskonałe. Polityka</i> (Edward Szymański)	396
Thorkild Hansen, <i>Arabia Felix</i> (Alina Mrozowska)	398
Maria i Bogdan Składankowie, <i>Wyprawy krzyżowe</i> (Witold Tyloch)	400
Seven Runciman, <i>Upadek Konstantynopola 1453</i> (Jan Reychman)	402
И. М. Дьяконов, <i>Предистория армянского народа</i> (Maciej Popko)	405
К. В. Васильев, <i>Планы сражающихся царств</i> (Mieczysław J. Künstler)	406





ABIG AWAKIAN

### TEN MALEŃKI CIASNY ŚWIAT

Halili zginął w naszych oczach. Na tych przeklętych samolotach „Audax” można było wykonywać tylko pięć pętli, Halili zrobił ich czternaście, z piętnastej już się nie wydostał.

Cóż to było za widowisko, kiedy spadał, Boże mój!

Z wyciem nadleciały samochody pogotowia ratunkowego — naraz trzy. A w ślad za nimi i my nadbiegliśmy. Dopalały się resztki samolotu, paliła się w koło ziemia. Razem z samochodami pogotowia zaczekaliśmy do samego końca — aż wszystko zgasło.

Był wiosenny czwartkowy poranek roku 1940.

Wiosna w Teheranie była w tym roku wczesna. Jakoś zbyt pospiesznie rozwijały się pączki, a w samym powietrzu wiosennym było coś zwodniczego i niepewnego.

Wracaliśmy do koszar, pozostawiając na polu gorący popiół. Byliśmy wściekli i staraliśmy się unikać wzajemnie swego wzroku; jedni patrzyli na hangary, inni na równiutkie pole, jeszcze inni na własne buciki. Ale był wśród nas jeden taki, który nigdzie nie patrzył, niczego nie widział i w ogóle przestał już nad sobą panować. To był nasz kolega, Razegi, damgańczyk<sup>1</sup>, z pięknymi smutnymi oczyma, spokojnymi i powolnymi, jak wieczorny cień pistacjowych ogrodów w jego ojczystym Damganie, ale z duszą zupełnie niepodobną do tych oczu — porywczą i burzliwą.

— Czy to jest życie, niech je diabli porwą! — wołał, klnąc na czym świat stoi i wykrzykując co mu ślina na język przyniosła.

Wiosenne niebo było błękitne i czyste.

Myslałem o tym, że jutro piątek — dzień świąteczny, a na rogu, na skrzyżowaniu Darwaze i Kazwin, na Halilego będzie czekała jego dziewczyna, Monire. Widywaliśmy ją tam co piątek w pobliżu *czajhane*, pod drzewem. Nieśmiało witała się z nami i szukała oczami Halilego.

A był to najbardziej niezdyscyplinowany uczeń szkoły lotniczej. Za rozmaite szaleństwa coraz to dostawał „koszarniaka” i przez cały dzień nie wychodził na miasto. To też często zdarzało się, że w piątek, kiedy wysiadaliśmy na rogu z autobusu, Monire zatrzymywała któregoś z nas i pytała:

— Czy Halili i dzisiaj nie przyjdzie?

Jutro będzie piątek, co powiemy Monire?

<sup>1</sup> Mieszkaniec miasta Damganu w północnym Iranie.



— Cholera z tymi samolotami! Spalić je wszystkie co do jednego, zniszczyć, żeby śladu nie zostało! — krzyczał damgańczyk Razegi. — I potem jeszcze plunąć na tę cholerną ziemię!

O dwunastej wykład geografii. Wykładowca stał już na schodach. Czekał na nas. Słyszał już, że ktoś z nas zginął, ale nie wiedział który, ani w jaki sposób. Sam zresztą nie był lotnikiem.

Zostało nas teraz jedenastu kandydatów do ukończenia szkoły lotniczej. Za spóźnienie udzielono nam nagany.

— Nasz kolega, Halili, zginął — powiedziałem.

— Słyszałem. To bardzo przykre — powiedział profesor. — Ale mimo to nie powinniście lekceważyć przepisów. To jest szkoła a nie...

— Nasz kolega, Halili, zginął — krzyknął strasznym głosem Razegi. — Powiedziano już panu, że zginął. I nic po nim nie zostało. Nic, co można byłoby pochować. A pańską szkołę, pańskie wykłady i pańską geografję to ja mam gdzieś! I pana też!

Przytrzymaliśmy go, bo rwał się do bicia, a to już byłby niezgorszy skandal. Zresztą i tak wykładowca obraził się śmiertelnie i więcej go już nie oglądaliśmy.

Było już koło północy, kiedy zadzwoniono ze Sztabu Głównego. Dowiedzieliśmy się, że jutro o świcie szkoła otrzyma trzy samoloty amerykańskie typu „Hurricane” i wszyscy słuchacze ostatniego kursu mają pozostać w koszarach oraz asystować przy ceremonii powitania amerykańskich lotników.

Razegi wstał z łóżka, ubrał się i na pytanie, dokąd go diabli niosą o tej porze, tylko brzydtko zaklął. Wrócił z paroma butelkami pod pachą, dał w kark służbowemu, który go nie chciał wpuścić do sali, a potem kopnięciem wywrócił parę krzeseł.

Wszyscy jedenastu piliśmy z wielkich szklanic i myśleliśmy w milczeniu o tym, że jutro piątek, że koło *czajhane* będzie na nas czekała Monire i że — dzięki Bogu — na skutek przyjscia amerykańskich „Hurricaneów” nie będziemy mieli wolnego dnia i nie spotykamy się z nią.

O świcie przybyły „Hurricane”. Staliśmy na polu, kiedy lądowały. Na tle czystego, wiosennego nieba wydały się one nam niezwykle lekkie, szybkie i śmigłe.

Generał lotnictwa opuścił naszą grupę i pospieszył w kierunku gości. Potem my również podeszliśmy do Amerykanów i wymięliśmy z nimi uściski dłoni. Zaproponowali nam obejrzenie samolotów oraz ich nowoczesnego sprzętu, który zresztą naprawdę był bez zarzutu, aż do najmniejszych drobiazgów. Generał uśmiechał się z zachwytem i potakiwał ruchem głowy, a Razegi kąsał wargi i odwracał się.

W pobliżu hangarów ustawiły się nasze „Audaxy” jak puszczyki.

— Co to takiego? — spytał dowódca „Hurricaneów”.

W naszej grupie tylko ja jeden trochę rozumiałem po angielsku i powiedziałem mu, że to są samoloty, że mają dwa skrzydła, kierownicę i siedzenie, no i oczywiście motor, który co prawda jest trochę ciężkawy i nie zawsze słucha nas.

— I wy startujcie na nich?

Powiedziałem, że startujemy, a nawet osiągamy dwa i pół tysiąca metrów, co zresztą jest wzbronione, robimy czternaście pętli, co też jest wzbronione, a potem spadamy i zabijamy się...

— Co też jest wzbronione? — uśmiechnął się amerykański lotnik.



Dowcip był nie na miejscu, toteż roześmieli się tylko Amerykanie.

Jak to dobrze, że wolny dzień diabli wzięli, że nie spotkamy dzisiaj Monire i że nie musimy jej powiedzieć: „Nie czekaj już na Halilego”!

— Powinno być wzbronione — powiedziałem.

Amerykanin znowu się uśmiechnął. Miał sympatyczną twarz, o regularnych rysach i jasne niebieskie oczy. Patrzył na stojące przed hangarem „Audaxy” i na błękitne, teherańskie niebo. Dla niego wszystko było jasne i proste, bo on prowadził „Hurricane’y” i wiedział, że na nich można swobodnie osiągnąć siedem tysięcy metrów, robić siedemset pętli i potem spokojnie lądować, gdzie tylko dusza zapragnie.

I czemu ten Halili zrobił takie głupstwo?

Serce ludzkie czasem ma ochotę rozerwać się z rozpacz.

— Weź się w karby! — szepnąłem do Razegi. — Jak oni sobie pojada, to rób co chcesz... Przy obcych nie trzeba.

Generał przyjacielsko poklepując gości po ramionach poprowadził ich w kierunku koszar. Szliśmy w ślad za nim. Generał rozpaczliwie gestykulował, wskazując na niebo, na ziemię i na nasze puchacze, „Audaxy”, które niezręcznie przykucnęły koło hangarów. Potem wskazał na nas i właściciele „Hurricane’ów” przyjaźnie się roześmieli.

Razegi znowu spąsował.

— Zabiję i generała i te małpy i was.

Obejrżeli się. Dowódca amerykańskiej grupy zawrócił do nas i spytał mnie:

— Katastrofa?

Kiwnąłem głową.

— Wczoraj nasz kolega nie wyszedł z *loopingu*. Zresztą z własnej winy. My na dole naliczyliśmy czternaście pętli.

Całą drogę od lotniska szliśmy w całkowitym milczeniu. Tylko generał nie przestawał wymachiwać rękami. Razegi gryzł wargi, dowódca Amerykanów palił papierosa po papierosie. Niebo było intensywnie niebieskie.

Czy Monire wie o tym, co się stało?

Następnie generał demonstrował gościom nasze sypialnie i audytoria, jadalnie, kuchnię, miejsce gdzie ma być zmontowany basen kąpielowy, pokój, który ma być zarezerwowany dla gier sportowych oraz taras, na którym mają być zbudowane pasy startowe dla specjalnych samolotów i specjalnych gości, których nie ma, jak nie ma samolotu 216, w którym wczoraj zginął Halili.

Lotnicy, którzy prowadzili „Hurricane’y” oraz ich drudzy piloci i mechanicy pokładowi mieli trochę odpocząć, wykąpać się i przebrać, po czym, jak zawsze w podobnych wypadkach, przewidywany był bankiet.

Życzyliśmy im przyjemnego wypoczynku i zawróciliśmy. Amerykański dowódca „Hurricane’ów” poszedł z nami.

— Nazywam się Bolth — przedstawił się. — Więc pan powiada, że czternaście pętli...

— Czternaście... Piętnastej lepiej było nie oglądać.

— Nie mam ochoty odpoczywać — powiedział Bolth. — Chodźmy się czegoś napić. Oczywiście ja funduję.

W tej chwili wezwał nas generał.



— Pamiętajcie, żebyście się nie upili. I ani słowa o rozbitym samolocie. Oni są naszymi gośćmi do poniedziałku. Musimy podejmować ich wzorowo.

— Tak jest, panie generale — odpowiedzieliśmy chórem.

Generał niechętnie zerknął na Razegiego.

— Uważajcie, żeby ten nie pił. Jeżeli człowiek jest z natury głupi, to nikt nic na to nie poradzi. Wy mnie słuchacie?

— Słuchamy, panie generale.

— Nikt mu nie kazał robić czternastu pętli. Wiecie, że kształciłem się w Londynie, jako pierwszy irański lotnik. Moim nauczycielem był Benth... „Hosrowi” — mawiał do mnie major, niech mu ziemia lekka będzie. „Hosrowi” — powiadał — „dzisiaj musisz zrobić pętlę, ale trzy razy, nie więcej”. „Rozkaz!” — odpowiadam i robię nie pełne trzy pętli, a dwie i pół. Połówkę zawsze zostawiałem diabłu i archaniołowi Gabrielowi, którzy w czasie robienia tych cholernych pętli, niech je piekło pochłonie, zawsze siedzą koło lotnika i pilnują go... czy wy mnie słuchacie?

— Słuchamy, panie generale!

— Na czym to ja stanąłem?

— Pan generał mówił: dwa i pół, diabeł, archanioł Gabriel...

— Przez całe swoje życie nie doszedłem nigdy do trzech pełnych obrotów. A wy nie spuszczaście nosów na kwintę. Jak człowiek zdecydował się być lotnikiem, to nie może być zbyt czułościowy. Dzisiaj już jestem grubasem, nie mieszczę się w kabinie, bo bym tak samo jak Halili... Cóż, kiedy nie mieszczę się w kabinie! — i generał roześmiał się.

— Słyszeliście, co mówiłem?

— Słyszeliśmy, panie generale.

— Na czym to ja stanąłem?

A wówczas Razegi znowu nie wytrzymał. Krzyknął nieswoim głosem:

— Na Halili.

Generał lotnictwa i szeregowy aspirant Razegi patrzyli sobie w oczy. Generał był małego wzrostu, z dużym brzuchem i szerokimi plecami. Spostrzegłem jak zadrżał jego otyły podbródek. Ale nie z gniewu. Dwaj ludzie stali naprzeciwko siebie. Gorące popielisko nieskończenie zbliżyło ich i zarazem nieskończenie od siebie oddaliło. Generał machnął ręką, odwrócił się i odszedł. Patrzyliśmy na jego plecy, które nagle stały się jakieś żałosne.

Teraz siedzimy w małym podmiejskim barze. Bar nazywa się „Banafsze” co znaczy „Fiołek”. Obsługuje nas niemłoda już, ale zalotna kobieta i cały czas kokietuje, czyniąc dość niedwuznaczne gesty. Gdzieś w pobliżu brzęczy gitara i ktoś śpiewa. To bardzo stara, ale zarazem bardzo miła piosenka:

„Czekam na ciebie i wiem, że przyjdiesz”.

Czy aspirant Halili przyjdzie do ciebie, Monire?

Poza oknem widać czyste wiosenne niebo bez żadnego obłoczka.

A my pijemy. Zapomnieliśmy o wszystkich generałach na świecie, zapomnieliśmy o naszych gościach, których wieczorem mamy zabawiać.

Bolth znowu pyta:

— To powiadasz pan, że czternaście pętli?



Bywa tak, że człowiek ma ochotę od razu wszystko wygarnąć. To, co nagromadziło się w nim, zaciążyło na pamięci i męczy go. To, jak Halili, najbardziej niezdyscyplinowany lotnik, wracał późną nocą z miasta, jak śmiał się i opisywał wszystko, co działo się u niego w domu. „Świekra mojej siostry obraziła się i odeszła z domu dlatego, że nasza sąsiadka poprosiła mamę o pożyczenie wielkiego rondla i mama go dała, a świekra siostry obraziła się śmiertelnie: Kto tu jest głową domu?” A mama odpowiada: „Ja”. Świekra zaś mówi: „Nieprawda, bo ja”. Natychmiast zażądano rondlek z powrotem i ustawiono na dawnym miejscu. No i od razu powrócił spokój... Ale za to matka nie daje mi spokoju: „Kiedy wreszcie dojdiesz do rozumu? Wnuków chcę mieć — powiada — umieram bez nich z nudy”.

Halili czasem wściekał się na nas: „Nie słuchacie mnie, przekłete ofiermy, a ja się trochę wstawiłem i mam ochotę pogadać. No, nie śpijcie jeszcze, do jasnej cholery! Mojej Monire widzicie niczego na świecie nie potrzeba, byleby tylko widziała mnie co piątek. I nic więcej! — Będę czekała na ciebie koło naszego drzewa — powiada i pójdziemy gdziekolwiek razem, dobrze? Jeżeli chcesz to pójdziemy do ‘Abszar Fahlawi’ albo pójdziemy do ‘Szemiranu’, albo nigdzie nie pójdziemy. Albo w ogóle nie będę czekała pod drzewem, jeżeli nie chcesz. Tylko przyjeźdź...! — Powiedzcie mi, dlaczego w tym małym, ciasnym świecie ludzie nie znajdują sobie miejsca? No, obudźcie się już do jasnej cholery! Spróbujmy porozmawiać jak ludzie. Mojego szwagra wyrzucili z fabryki, bo, idiota, przyłączył się do strajkujących. Myślał, że świat przewróci do góry nogami... Monire, zacna dziewczyna, dlaczego więc nie podoba się mojej mamie? — Kiedy zmądrzejesz, synku? — powiada. To dziewczyna z niższych sfer. Nie dorosła do nas. — Co to za niższe sfery, powiedzcie mi. Nie, jak pragnę Boga, to czegoś tu nie rozumiem. No wstawajcie, do jasnej Anielki”!

Bo czasem człowiek chciałby naraz opowiedzieć bardzo wiele.

— Tak, czternaście pętli — odpowiedziałem Bolthowi. — A poza tym on kochał pewną dziewczynę. Ona w tej chwili właśnie czeka na niego koło *czajhane*.

Amerikanin i tym razem zażartował, ale w jego głosie było szczere współczucie:

— I czy długo będzie na niego czekała przy tym *czajhane*?

— Chyba całe życie.

Razegi spadł z krzesła. Dlatego, że był pijany i dlatego, że był zrozpaczony. A może dlatego, że na tym maleńkim ciasnym świecie są tysiące rzeczy niezrozumiałych, z którymi ja — podobnie jak Halili — nie mogę sobie dać rady.

Dowódca „Hurricanów” znowu zapytał:

— Naprawdę czternaście?

Razegi wygramolił się spod stołu i wygłosił „mowę”.

— Dajcie nam wasze „Hurricany”, a zrobimy na nich sto tysięcy pętli, wlecimy sto tysięcy metrów do góry, a w razie potrzeby zejdziemy sto tysięcy metrów pod ziemię. Zobaczymy, którzy lepsi. Wy czy my?

Przetłumaczyłem Bolthowi „mowę” przyjaciela.

Amerikanin odpowiedział poważnie:

— Wy.

„Czekam na ciebie i wiem, że przyjdiesz”.

Jaka dziwna jest ta stara piosenka.



Razegi opuścił głowę na ręce. Płacze. To dobrze, że nie stara się ukryć przed nami swoich łez. Aspirant Bavay nagle wstaje i nie pożegnawszy się z nikim wychodzi. Domyślam się dokąd poszedł ... Aspirant Rezay wpatruje się w jeden punkt, kiwa głową i liczy pętle Halilego: dwanaście, trzynaście, czternaście, trzynaście, dwanaście ... Aspirant Ahmadian ogląda fusy po kawie, ale myślą jest gdzie indziej — w swojej ojczystej wiosce, wśród bagien i ogrodów. Wolałby trząść się tam na arbie, zamiast latać tu na samolotach.

Samolot, rondel, zdziwione oczy Monire, pętle. Generał lotnictwa Hosrowi, samochody pogotowia niepotrzebne już, zbyteczne, skoro już wszystko skończone ... O, ileż jest jeszcze rzeczy w tym maleńkim, ciasnym świecie, o których chciałoby się tyle powiedzieć, wszystko naraz!

A nic z tego nie wychodzi.

Z ormiańskiego przełożył  
*Bohdan Gębarski*





## SEN

Nazwisko B h a s y, którego jedna sztuka pojawiła się już na łamach „Przeglądu Orientalistycznego”<sup>1</sup>, związane jest z Keralą, leżącą na zachodnim wybrzeżu Indii południowych. To właśnie tam odnaleziono w rękopisach trzynaście sztuk tego dramaturga, któremu hołd składa sam K a l i d a s a. Nie było by nic dziwnego w odnalezieniu tych sztuk, bo przecież od czasu do czasu w różnych miejscach Indii odkrywa się rękopisy uważane od dawna za bezpowrotnie stracone, gdyby nie to, że wiele spośród tych tekstów stanowi do dziś repertuar teatru keralskiego zwanego *Kudijattam* (gra zespołowa). Do niedawna uważano, że klasyczny teatr indyjski poza pewną liczbą dramatów i kilkoma teoretycznymi rozważaniami nie pozostawił po sobie żadnych innych śladów. Pogląd ten jednak jest coraz częściej podważany. Pierwszym argumentem przeciw niemu stało się stwierdzenie, że klasyczny taniec indyjski wywodzi się bezpośrednio z tego teatru. Potem, badając bliżej niektóre formy teatralne uważane dotąd za ludowe, stwierdzono, że są to lokalne odmiany tradycji klasycznej, często zresztą już dość odległe od pierwowzoru. Dotyczy to assamskiego teatru, zwanego *Ankija nat* i teatru tamilskiego zwanego *Bhagawatamelanatakam*, podobnie jak i teatru keralskiego — *Kudijattam*.

Niezwykłe dzieje tego teatru, najbliższego w swej strukturze klasycznym antenatom, wypływają przede wszystkim ze szczególnego układu stosunków panujących na południu, polegających na swego rodzaju „kolonialnym” charakterze przyniesionej tam przez braminów kultury sanskryckiej. Pewne zagrożenie ze strony substratu drawidyjskiego, jakie odczuwali twórcy czy depozytariusze tej kultury, kazało im otaczać ją nadzwyczajną czcią. Rezultatem tego był dużo większy konserwatyzm indyjskiego południa, który przyczynił się do przetrwania klasycznej tradycji teatralnej. Lecz nie było by to zapewne możliwe, gdyby konserwatyzm ów był li tylko zachowawczy i martwy. Kulturę Południa do dziś cechuje dużo większa niż na północy otwartość i elastyczność, co zresztą w niczym nie umniejsza jego przywiązania do tradycji. Najlepszym tego świadectwem w przeszłości może być chociażby wysoce tolerancyjny stosunek tej kultury do chrześcijaństwa oraz gotowość, z jaką przyjmuje ona i dziś wpływy europejsko-amerykańskie. Ta elastyczność Południa sprawiła, że nie usiłowano tam zachować teatru klasycznego w pierwotnej formie i bez żadnych zmian, ale przeciwnie, poddano go odpowiedniej reformie, która znakomicie ułatwiła jego przetrwanie. Miała ona miejsce w XI w. za panowania radży Koczinu K u l á s e k h a r a w a r m a n a, poety i autora dwóch do dziś granych sztuk sanskryckich. Polegała przede wszystkim na wprowadzeniu na scenę (obok klasycznego sanskrytu i niemniej już klasycznych prakrytów) potocznego języka Kerali — malajalam, który tam właśnie uzyskał swój literacki szlif. Na używanie tego języka dostał placet Wesołek (widuszaka), Arlekin klasycznej sceny indyjskiej.

Wreszcie ostatni element, który odegrał niepoślednią rolę w przetrwaniu tej sztuki aktorskiej, to jej związek z kultem. Otóż teatr stanowił i jeszcze stanowi istotny składnik uroczystości świątynnych. Choć nie jest teatrem sakralnym, spełnia jednak ważną rolę w tych uroczystościach jako rozrywka przeznaczona dla boga-patrona świątyni. Dlatego w obrębie murów świątynnych wznoszono stałe budynki teatralne zwane *kuttambalam*, a *czakjarowie*, tj. podkasta aktorów, należą do liczniejszej grupy tzw. mieszkańców świątyni (*ambalawasinów*), którym świątynia nadawała grunty w zamian za wystawianie sztuk z okazji różnych „odpustów”. Udział teatru w obrzędowym rytuale i jego fizyczna obecność w obrębie murów

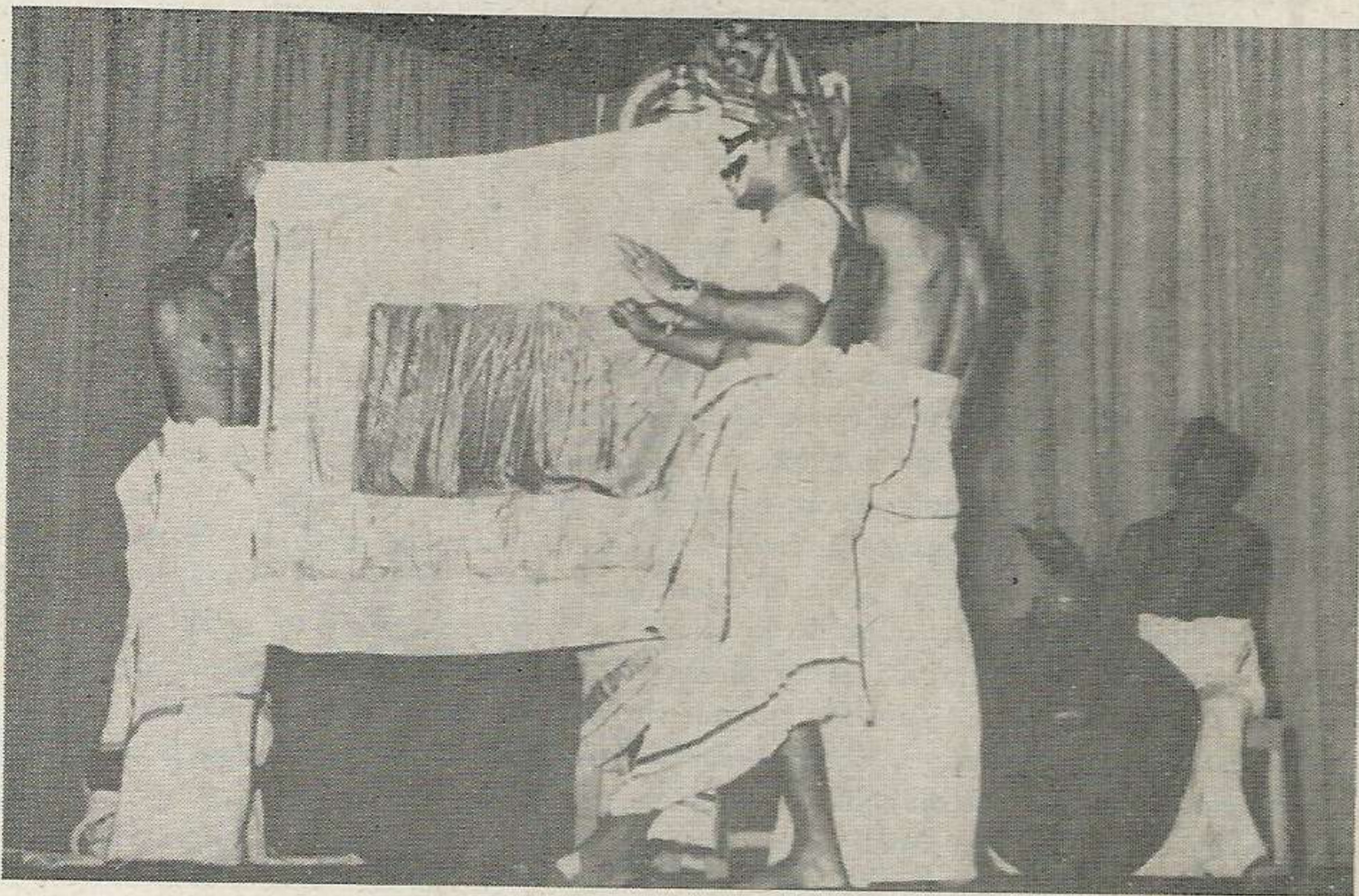
<sup>1</sup> PO nr 2(66), 1968, s. 139—155.



świątyni nadały mu wysoką rangę społeczną. To dzięki niej teatr zajmuje i dziś tak poczesne miejsce w kulturze Kerali.

Poniżej publikujemy piąty akt sztuki *Bhasy* pt. *Ujrzana we śnie Wasawadatta*. Sztuka uważana przez krytykę indyjską za najlepszą wśród trzynastu dzieł Bhasy weszła do repertuaru teatru keralskiego na stałe. Atoli poza jednoaktówkami teatr ten nigdy nie wystawiał całych sztuk, a tylko ich fragmenty. W wypadku *Ujrzanej we śnie Wasawadatty* takim fragmentem jest właśnie akt piąty, zatytułowany *Sen* (*Swapnanaka*). Nasuwa się pytanie: dlaczego aktorzy keralscy wystawiają tylko fragmenty sztuk, skoro na brak czasu uskarżać się nie mogą i przedstawienie trwać może od dziewięciu do trzydziestu nocy? Odpowiedzi na to pytanie szukać trzeba w tradycyjności ich sztuki. Niezrozumiały dla większości widzów, a pieczołowicie zachowywany sanskryt powoduje to, że wybiera się do realizacji fragmenty, w których występuje Wesolek. On to bowiem dzięki językowi potocznemu, którym się posługuje, stanowi ogniwo łączące widowie z tym, co się na scenie dzieje, tłumacząc i komentując każdą kwestię. On także wypełnia kilka nocy swymi monologami, jedynie formalnie związanymi z przedstawianym fragmentem sztuki, a których treść stanowi najczęściej ostra satyra społeczna. Jeśli się jeszcze do tego doda zrytualizowany prolog i niezwykle rozbudowane aktorsko wprowadzenie, składające się z opowieści mimicznej o poprzednich losach bohatera sztuki oraz samą grę aktorską, która w teatrze keralskim jest powolną pantomimą posługującą się gestami-znakami pełną zupełnie dowolnych dygresji pantomimicznych, to w rezultacie otrzymamy kształt takiego przedstawienia. Jasne, że w tych warunkach zaprezentować całą, w wypadku *Ujrzanej we śnie Wasawadatty* sześćoaktową sztukę, niepodobna.

Jak już wspomnieliśmy, w obrębie murów świątynnych wznoszono budynki teatralne, w których to zazwyczaj (choć nie wyłącznie) odbywają się przedstawienia. Głównym widzem jest bóg-patron świątyni. Wobec tego scena zwrócona jest frontem ku budynkowi świątyni, gdzie się znajduje sanktuarium. Sam budynek teatralny, czworoboczny, przykryty spadzistym dachem krytym miedzianą blachą nie ma ścian bocznych, które zastępuje ażurowa drewniana kratownica. Dach wsparty jest na filarach. Scena wewnątrz tego budynku to niezbyt wielkie wzniesienie także przykryte ostrosłupowym, czworobocznym dachem, wspartym na ozdobniejszych nieco, niż główne, filarach. Otwartą z trzech stron scenę zamyka z tyłu ściana, w której się znajduje dwoje drzwi, wiodących do garderoby. Pomiedzy drzwiami na scenie siadają muzycy, a przede wszystkim perkusiści, grający na olbrzymich kotłach miedzianych



*Pierwsze pojawienie się na scenie bohatera sztuki, maharadży Udajany. Za kurtyną w roli bohatera mistrz Manimadhawa Czakjar. Przed kurtyną w roli Wesolka (widuszaki) jego syn, Gowindan Nambiar*



lub czasem glinianych, zwanych *miṣhaw*. Z przodu sceny stoi charakterystyczna, wysoka, mosiężna lampa oliwna, kiedyś wyłączne źródło światła, a dziś raczej już tylko element tradycji i rytuału. Bardzo szczególnym elementem tego teatru jest kurtynka, trzymana przez dwóch pomocników zazwyczaj w chwili pierwszego lub bardziej niezwykłego wejścia lub zejścia aktora ze sceny. O wyglądzie aktorów najlepiej opowiedzą załączone zdjęcia w wykonaniu Gowinda Widjarthiego, z przedstawienia piątego aktu *Ujrzanej we śnie Wasawadatty* w Delhi w marcu 1964 r. Tu warto jedynie dodać, że jest to wygląd nadzwyczaj kolorowy; szczególnie charakteryzacja aktora i korona na jego głowie mieniąca się złotem i barwnymi kwiatami. Zamiast kwiatów używa się dzisiaj kolorowej bawełny.

W 1964 r. *Kudijattam* po raz pierwszy zostało zaprezentowane w Indiach północnych. Aktorzy wystąpili szereg razy w Delhi i w Benaresie. Z inicjatywy piszącego te słowa, przy współudziale finansowo-organizacyjnym Fundacji Paderewskiego i indyjskiej Akademii Muzyki i Teatru, przedstawiono fragmenty sztuk *Harszy* (*Radość węży*), *Bhasy* (*Ujrzana we śnie Wasawadatta i Koronacja*) oraz *Kulaśekhara w armana* (*Subhadra i Ardżuna*). Trzy z czterech reprodukowanych tu zdjęć pochodzą z przedstawienia *Ujrzanej we śnie Wasawadatty*, wystawionej przez trupę mistrza Manimadhawy Czakjara 17 marca 1964 r. w sali Audytorium Azad Bhawan w Delhi. Zdjęcie czwarte, przedstawiające perkusistów, pochodzi z wcześniejszego przedstawienia *Subhadry i Ardżuny* w sali teatru szkolnego Narodowej Szkoły Dramatycznej w Delhi.

Ponieważ drukowany poniżej tekst stanowi jedynie ten fragment, który wystawiają aktorzy keralscy, wypada krótko opowiedzieć wypadki poprzedzające i to, co zawiera akt szósty. Sztukę *Bhasy* rozpoczyna scena w pustelni leśnej, gdzie przybywa minister króla Udajany, Jaugandharajana, w przebraniu bramina i królowa Wasawadatta w przebraniu kobiety z Awanti. Jednocześnie pustelnię odwiedza księżniczka Padmawati. Z rozmowy dowiadujemy się, że tam gdzie polował król Udajana wybuchł pożar i że w płomieniach znalazła pozorną śmierć nieszczęsna Wasawadatta i wierny minister. Wszystko było zresztą przemyślnie ukartowane przez ministra po to, aby Udajana zechciał pojąć drugą żonę i to właśnie księżniczkę Padmawati. Sojusz bowiem z jej ojcem zapewnić ma Udajanie odzyskanie utraconego królestwa. Wypadki pierwszego aktu kończą się oddaniem pod opiekę Padmawati przebranej Wasawadatty. Akt drugi wypełnia gra w piłkę Padmawati i Wasawadatty i ich rozmowa o zamążpójściu Padmawati. W akcie trzecim smutna Wasawadatta wije weselną girlandę dla swego męża, a dziś pana młodego, biorącego



Ostatnia scena przedstawienia. Od lewej: w roli królowej Wasawadatty córka mistrza Manimadhawy Czakjara, Ammini Kutti, mistrz Manimadhawa w roli Udajany i jego syn Gowindan Nambiar w roli Wesółka



za żonę Padmawati. Akt czwarty, to rozmowa Wesółka i Udajany (już po ślubie), z której dowiadujemy się, że Udajana w dalszym ciągu kocha Wasawadatę nie wiedząc, że jego ukochana żona jest tuż tuż, jako jedna z dwórek Padmawati. Prezentowany akt piąty, to kulminacja tęsknoty i nadziei i bolesne przebudzenie ze snu. Wreszcie akt szósty doprowadza intrygę do szczęśliwego rozwiązania. Pojawia się Jaugandharajana, a Padmawati rozpoznaje w portrecie Wasawadatty jedną ze swych dwórek. Wszyscy są zadowoleni, zaś Jaugandharajana wyjaśnia bohaterowi, że uczynił to wszystko jedynie dla odzyskania królestwa. Król wybacza swemu ministrowi i na tym sztuka się kończy.

M.K.B.



*Gowindan Nambiar w roli Wesółka*

*(Tedy wchodzi Padminika)*

PADMINIKA

Madhuriko, Madhuriko chodź, chodź szybko!

*(Wchodzi Madhurika)*

MADHURIKA

Oto jestem, przyjaciółko. O co chodzi?

PADMINIKA

Jakto, nie wiesz? Księżniczkę Padmawati boli głowa.



MADHURIKA

Masz ci los!

PADMINIKA

Idź szybko, przyjaciółko, i zawołaj szlachetną Awantikę. Powiedz tylko, że księżniczkę boli głowa, a ona już sama przyjdzie.

MADHURIKA

Cóż ona tu poradzi, przyjaciółko?

PADMINIKA

Słodkimi opowiadaniem złagodzi ból księżniczki.

MADHURIKA

Dobrze, ale gdzie jest łoże przygotowane dla księżniczki?

PADMINIKA

W morskiej altanie. Idź już. A ja poszukam szlachetnego Wiosenkę, by zawiadomił Jego Wysokość.

MADHURIKA

Dobrze. (*Wychodzi*)

PADMINIKA

Trzeba zobaczyć gdzie może być teraz szlachetny Wiosenka.

*(Tedy wchodzi Wesolek)*

WESOŁEK

Oto dziś, w czasie święta niosącego bezgraniczne szczęście, wzrasta nadzwyczaj żar miłości Jego Wysokości króla Watsów o sercu udreżonym rozłąką z królową Wasawadattą i wstrząśniętym małżeństwem z Padmawati. (*Dostrzega Padminikę*). Hej, Padminiko, cóż się tu dzieje?

PADMINIKA

Jakto, nie wiesz szlachetny Wiosenko, że księżniczka Padmawati cierpi na ból głowy?!

WESOŁEK

Doprawdy nie wiedziałem, Pani.

PADMINIKA

Więc powiedz o tym Jego Wysokości. A ja biegnę po balsam.

WESOŁEK

Gdzie jest przygotowane łoże dla Padmawati?

PADMINIKA

W altanie morskiej.



WESOŁEK

Idź, Pani, a ja zawiadomię Jego Wysokość.

*(Wychodzą)*

KONIEC WPROWADZENIA<sup>2</sup>

*(Tedy wchodzi król)*

KRÓL

Chociaż ja zrządzeniem czasu  
Znów obarczon jestem żoną,  
To się ciągle troskam o tę  
Awanti monarchy godną  
Córę dobrze urodzoną,  
Której smukłe ciało ogień  
Strawił we wsi Lawanace  
Niby mróz lotosów kępę. (1)

WESOŁEK

Szybko, szybko, Panie!

KRÓL

Cóż się stało?

WESOŁEK

Jej Wysokość Padmawati cierpi na ból głowy.

KRÓL

Kto ci powiedział?

WESOŁEK

Padminika.

KRÓL

Ach biada!

Boskim kształtem obdarzoną,  
Cnót wszelakich pełną.  
Otom posiadał miłą żonę.  
Złagodniała rozpacz.  
Stara rana jednak boli  
I smutku doświadczam.  
Nie dziw więc, iż Padmawati  
Jednako strapiona. (2)

Gdzie jest Padmawati?

WESOŁEK

W morskiej altanie przygotowano łożo.

<sup>2</sup> W realizacji scenicznej czakjarowie opuszczają to wprowadzenie.



KRÓL

Więc wskazuj drogę.

WESOŁEK

Chodź, chodź, Panie.

*(Obaj obchodzą scenę)*

WESOŁEK

Oto altana morska. Proszę wejdz, Panie.

KRÓL

Wejdz pierwszy.

WESOŁEK

Jak wola *(wchodzi)*. Rany Boskie, stój, stój, Panie!

KRÓL

Cóż się stało?

WESOŁEK

Tam... w świetle lampy... wąż się na ziemi wije...!

KRÓL

*(Wchodzi i rozgląda się. Z uśmiechem)*

Ach, więc to jest wąż dla głupca!

Długa i prosta i drżąca girlanda  
Na ziemię spadła z głównego portalu,  
A ty ją, głupcze, za pytona bierzesz!  
Wiatrem powolnym w nocy obracana  
Wężowe jakby naśladuje ruchy! (3)

WESOŁEK

*(Przygląda się)*

Słusznie mówisz Panie, to nie wąż. *(Wchodzi, rozgląda się)*. Jej Wysokość Padmawati chyba tu była i poszła.

KRÓL

Na pewno nie, przyjacielu.

WESOŁEK

Skąd wiesz Panie?

KRÓL

Cóż tu wiedzieć trzeba. Patrz

Łoże gładkie i bez wklęśnięć.  
Nie stargane prześcieradła  
I podglówek nie zbrukany  
Lekarstwami na ból głowy.  
Nie ma nic, co rodzi piękno



By w chorobie wzrok radować.  
Bólem człowiek powalony  
Łoża szybko nie porzuca. (4)

WESOŁEK

Usiądź więc tu na chwilę, Panie i zaczękaj na Jej Wysokość Padmawati.

KRÓL

Dobrze. (*Siada*). Przyjacielu, senność mi dokucza. Opowiedz jakąś historię.

WESOŁEK

Potakuj, Panie, gdy opowiadać będę.

KRÓL

Dobrze.

WESOŁEK

Było sobie miasto zwane Udźdzaini i były tam nadzwyczaj rozkoszne miejsca gdzie kąpieli zażywano...

KRÓL

Dlaczego właśnie Udźdzaini?

WESOŁEK

Jeśli ci niemiłe to opowiadanie, to opowiem inne.

KRÓL

Nie, przyjacielu, to nie dlatego, że mi ono niemiłe, lecz dlatego, że...

Wspominam tę córę monarchy Awanti,  
Co w chwili rozstania o bliskich myślała  
I te łzy ogromne w kącikach jej oczu,  
Gdy z miłości ona na mą pierś upadła. (5)

A także

Wśród pouczeń moich wielu  
Tak patrzała na mnie ona,  
Że kosteczkę upuściła,  
Rękę próżno podnosiła,  
By powietrze miast strun trącać. (6)

WESOŁEK

No dobrze, opowiem inne. Było sobie miasto zwane Brahmadata. Powiadają, że tam król imieniem Kampilja...

KRÓL

Że co, że co?

WESOŁEK

(*Powtarza jak wyżej*)



KRÓL

Głupcze, król Brahmadata, miasto Kampilja!

WESOŁEK

Jak to, król Brahmadata i miasto Kampilja?

KRÓL

Nie inaczej.

WESOŁEK

Poczekaj chwileczkę, Panie, niech do tego wargi przyzwyczaję. Król Brahmadata, miasto Kampilja (*powtarza kilkakrotnie*). No, więc słuchaj, Panie. Hm, zasnął. Chłodno się zrobiło. Wezmę swoją kapotę i pójdę. (*Wychodzi*).

(*Wchodzi Wasawadata w stroju kobiety z Awanti wraz z dwórką*)

DWÓRKA

Chodź, chodź, szlachetna. Księżniczkę strasznie boli głowa.

WASAWADATTA

Masz ci los! Gdzie łoże dla niej przygotowano?

DWÓRKA

W altanie morskiej.

WASAWADATTA

Więc idź przodem.

(*Obchodzą scenę*)

DWÓRKA

Oto altana. Wejdz, szlachetna, a ja tymczasem pobiegnę po lekarstwa. (*Wychodzi*).

WASAWADATTA

Nielitościwi doprawdy bogowie! Oto Padmawati, która dla męża mojego udrezonego rozłąką powinna być źródłem odpoczynku, w takim się znalazła stanie. (*Wchodzi, rozgląda się*). Ach, jakaż ta służba niedbała! Żeby tak zostawić chorą Padmawati tylko w towarzystwie lampy! Śpi. Usiądę. Lecz jeśli gdzie indziej usiądę, to wydawać się będzie, że mało ją kocham. Usiądę więc na tym samym łożu. (*Siada*). Jakże się to dzieje, że dziś, gdym koło niej usiadła serce me wielka przejęła radość. Bogom dzięki, równo i lekko oddycha. Pewnie się już przesiliła choroba. Miejsce dla mnie na łożu zostawiła, jakby powiedzieć chciała — przytul się do mnie. Więc i ja się położę.

KRÓL

(*Śni*)

Ha, Wasawadatto...

WASAWADATTA

(*Gwałtownie wstaje*)

Och, to mój mąż, nie Padmawati...! Zobaczył mnie! Daremny doprawdy stał się trud Jaugandharajany!



KRÓL

Ha, córo króla Awanti...

WASAWADATTA

Bogom niech będą dzięki, śni mój małżonek! Nikogo nie ma, więc postoję tu, by trochę oczy i serce nacieszyć.

KRÓL

Ha, miła! Ha, uczniu miły! Daj odpowiedź, proszę!

WASAWADATTA

Mówię, mówię, Panie.

KRÓL

Gniewasz się?

WASAWADATTA

Ależ nie, nie! Jestem nieszczęśliwa.

KRÓL

Jeśli się nie gniewasz, to czemu klejnotów nie nosisz?

WASAWADATTA

Powiedziałam, że nieszczęśliwa.

KRÓL

Czy ciągle Wiraczikę pamiętasz?

WASAWADATTA

*(Z gniewem)*

Przestań! I tu także Wiraczika!

KRÓL

Więc wybacz mi, Pani, Wiraczikę! *(Wyciąga rękę)*

WASAWADATTA

Zbyt długo tu stoję. Ktoś mnie zobaczyć może. Pójdę więc, lecz najpierw rękę jego na powrót na posłaniu ułożę. *(Tak czyni i wychodzi).*

KRÓL

*(Wstaje gwałtownie)*

Wasawadatto, stój! Ach, biada!

Kiedym wybiegł z podnieceniem

Uderzony skrzydłem drzwi

Nie wiem jasno czy to sen był,

Czy też żywy pragnień kształt! (7)

*(Wchodzi Wesolek)*

WESOŁEK

O, już nie śpisz, Panie!



KRÓL

Przyjacielu, posłuchaj nowiny miłej — Wasawadatta żyje!

WESOŁEK

Wasawadatta!? Gdzie? Przecież ona od dawna nie żyje!

KRÓL

Przyjacielu, nie, doprawdy nie!

Na łożu śpiącego mnie zbudziwszy poszła.  
Przyjacielu miły, tedy mnie oszukał  
Rumanwan, gdy mówił, że spłonęła ona! (8)

WESOŁEK

Nie, to niemożliwe! Myślałeś o Jej Wysokości, gdym wspomniał kąpieliska i dlatego pewnie we śnie ją ujrzałeś.

KRÓL

Więc ją we śnie widziałem!

Jeśli tedy to był sen — błogo się nie zbudzić,  
Albo jeśli w złudzie był — złuda niechaj długo trwa! (9)

WESOŁEK

Przyjacielu, mieszka w tym mieście czarodziejka imieniem Awantisundari. To ją pewnie widziałeś.

KRÓL

Nie, nie!

Ze snum przebudzony zoczył twarz tej, co swej strzeże cnoty.  
Oko jej nie pomne kredki, czoło zdobi włosów pukiel. (10)

I więcej przyjacielu — patrz, patrz!

Oto ramię uściśnione przez wzruszoną tę królowę  
Dreszczu się nie zbyło jeszcze, chociaż dotyk snem był tylko! (11)

WESOŁEK

Przestań o tej złudzie myśleć, Panie. Wejźmy do śróddomia.

*(Wchodzi Szambelan)*

SZAMBELAN

Zwycięzaj, synu szlachetnego! Nasz król Darśaka donosi ci, Panie, iż twój minister Rumanwan wraz z siłą wojska wyruszył przeciw Aruniemu. Także i moje zwycięskie oddziały słoni, kawalerii i piechoty gotowe są do walki. Tedy powstań Panie!  
Bowiem

Skłóceni wrogowie, a poddani twoi  
Cenią twoje cnoty i są ufni tobie.  
Co trzeba zrobiono, by w czasie pochodu  
Waszej Wysokości zabezpieczyć tyły.  
Tom wszystko uczynił, co jest w mojej mocy,



Co rodzi zniszczenie pośród nieprzyjaciół.  
 Także siły nasze przekroczyły Gangę,  
 Więc się w rękę twoim znaleźli Watsowie! (13)

KRÓL

(*Wstaje*)

Wspaniale! Oto teraz

W oceanie wielkim bitwy,  
 Gdzie lecących strzał straszliwe  
 Fale miażdżą się i łamią  
 Gdzie słonie i konie brodzą,  
 Stawię czoła Aruniemu,  
 Co w okrutnych czynach biegły  
 I ku zgubie go przywiodę! (14)

(*Wszyscy wychodzą*)

Z sanskrytu przełożył  
 Maria Krzysztof Byrski



*Perкусиści tzw. ludzie o mówiących dłoniach (paniwada). Od lewej: Narajanan Nambiar, syn mistrza Mani-  
 madhawwy i Krysztan Nambiar*



## SZERSZEŃ\*

Słońce. Ogromne. Jego blask przenikał wszystko — krzaki, trawy, drzewa. Wcisnął się między listowie, w każdą szczelinę kory, w dziuple drzew, wcisnął się pod kamienie, w pęknięcia gleby; wcisnął się wszędzie, wlewał się wszędzie, jak woda, jak powietrze. Natura obmywała się cała w niespotykanej dotychczas jasności. Obmywała się aż do najskrytszych ustroni i najciemniejszych zakamarków, do których nigdy nie docierało światło. A jasność była taka, że patrząc z uwagą dojrzałbyś hen, za przejrzystymi grzbietami Taurusu, nagi bezkresny step. W tej jasności wszystko stało się przezroczyste.

Rzeka prześwietlona słońcem była płynącą jasnością. W jasności tonęły ryby, raki, żółwie i białe kamyki, leżące na dnie. Nad nimi — wezbrana rzeka światła.

Przybrzeżne wodorosty, niebieskie, białe i żółte kamyki leżące na brzegu, drzewa rosnące w dolinie — wierzby, topole, platany, tamaryszki — wszystko, wszystko było wycięte z kryształu.

Nad rzeką stała wierzba, a na czubku zwisającej nad wodą gałązki siedział szerszeń — od dłuższego czasu w zupełnym bezruchu. Jego cień, niczym cień olbrzymiego ptaka, kładł się na dnie prześwietlonej rzeki. Cień skręcał się i łamał, to skrzydło tracił, to nogi, to głowę. Raz głowa wydłużała mu się niepomierne, a kiedy indziej skrzydło... Cień stawał się co chwila innym, coraz dziwniejszym stworem. To przypominał szerszenia-potwora, to psa, to rybę, to ptaka, to znów motyla lub konia... Czasem nie przypominał niczego. Czasem odpływał z prądem i znikał w oddali, czasem opadał na dno i czarną plamą przywierał do białych kamieni. Czasem zmieniał kolory. Był płowy i wprost niedostrzegalny, był czarny i gęsty jak sadza, był zwiewny, przejrzysty, jasno zielony lub koloru kawy.

Pod wodą goniły się olśniewające swą urodą ryby i płynąc w pojedynkę lub całymi stadami rozsiewały wkoło błyskotliwe drżenia. Cień dosiadał niekiedy jakiegoś grzbietu, błyszczącego misternie ułożoną łuską i harcował na nim przez chwilę, a potem skakał z niego na kamienie i znowu opadał na dno.

W wodzie odbijała się również wierzbową gałązka, jej cień kurczył się i łamał na tysiąc patyczków, albo łączył się znowu w jedną całość. Wtedy szerszeń siadał na swoim dawnym miejscu.

Drobniutka fala rozchodziła się w kręgi i zakosy i uderzała o piasek nadbrzeżny, błyskający tysiącem światel i promieni. Drobniutkie „zajaczki” i świetliste drgania

\* Opowiadanie zaczerpnięte z *Türk edebiyatı*, Istanbul 1965.



igrały także po cienkiej gałązce, na której siedział szerszeń i gubiły się w gęstwinie zielonkawych liści.

Para ogromnych oczu, większych od głowy szerszenia i jakby nie jego, mieniła się różnymi barwami niczym śrut ze srebra, perły lub diamenty... Skrzydła rozpięte... Pełne niebieskich żyłek... Mienia się na błękicie... Rozwarte, chwytają w siebie światło... Błyszczą czarna sierść na grzbiecie szerszenia... Szerszeń jest bardzo wcięty w pasie, tylko patrzeć, jak się rozetnie na dwoje. Odwłok opasują mu trzy pąsowe wstęgi, usiane brązowo żółtymi włoskami. Tę część odwłoku, która ukrywała żądło, przebiega nerwowe drzenie. Szerszeń wpił się łapkami w szypułkę wierzbowego, liścia, jakby nie miał jej nigdy opuścić. Co jakiś czas wysuwał swą trąbkę, trzymał ją przez chwilę wysuniętą i wciągał do środka. Wysuwanie trąbki musiało sprawiać szerszeniowi przyjemność, bowiem za każdym razem radośnie trzepotał skrzydłami, potem je opuszczał i otulał się nimi z lubością.

Ech! Niech się dzieje, co chce!<sup>1</sup>

Gdy na rozpiętych skrzydłach załamywało się światło, traciły swą przejrzystość, zmieniały kolor i stawały się podobne do skrzydeł motyla. A gdy się unosiły, to znów brały w siebie słońce, znów były przejrzyste i strzelały błękitnymi ogniami.

Zawiał leciutki wiatr. Gałązka zakolysała się z wolna, lecz szerszeń nie ruszył się z miejsca. Opuścił tylko na chwilę lewe skrzydło i uniósł je znowu do góry.

Po wodzie mignęło coś, jakby cień obłoku. Szerszeń błyszczący żółtym, zielonym, niebieskim i stalowym blaskiem, zmatowiał nagle i zmienił się w kawowy kłębek. Zgasły czerwone wstęgi na odwłoku, mieniające się przedtem jak górskie kryształy. Gdy cień przeminął, szerszeń stał się znowu ogromny, świetlisty i tryskał tysiącem wesołych ogników.

Prawą łapką głaskał głowę i dropiate ślepią. Gdy poczuł zmęczenie, zmieniał prawą łapkę na lewą, lewą na prawą i tak głaskał się nimi bez ustanku. Lekko poruszał skrzydełkami. Nagle zabuczał ze złością. Buczał coraz gwałtowniej...

Ech! Niech się dzieje co chce!

Tysiące drobnych fal uderzało o piaszczyste brzegi, a liście — częściowo leżące na piasku, a częściowo w wodzie — kołysały się teraz łagodnie. Tysiące drobnych i drżących „zajączków” skakało z wody i biegało po liściach, po gałęziach i po trawach zielonych, rosnących na brzegu rzeki.

Skrzydła szerszenia wibrowały tak szybko, że stały się niedostrzegalne, słyhać było tylko coraz głośniejsze brzęczenie.

Ech! Niech się dzieje, co chce!

Skrzydła, nogi, oczy, głowa, trąbka i cały tułów szerszenia — to tylko brzęcząca i bucząca kula. Co mu się stało? Oszalał? Jeszcze się wścieknie z tej złości!

Szerszeń jest z gatunku czerwonych szerszeni. Nazywa się je także „oślemi osami”. Sterczące na grzbiecie i odwłoku szerszeni czerwone włosie w bezsłoneczne dni stają się całkiem czarne.

Teraz szerszeń jest jasną, rozedrganą kulą. Drży z nim razem gałązka, na której siedzi, drży lekko, jakby chciała zmącić trochę wodę.

<sup>1</sup> *Nicolursa olsun!* — wers zaczerpnięty z poezji ludowej.



Czerwone szerszenie, zwane na wsi „oślemi osami”, to najokrutniejsze z szerszeniego rodu, choć są niewiele większe od dużego palca. Jeśli kilka na raz użądli człowieka, nie ma dla niego ratunku. Szerszenie gromadnie napadają na dzieci i często powodują ich śmierć...

Szerszenie... Czerwone szerszenie błyszczące złotymi pierścieniami... Ogród i szalasy w ogrodzie... Na ziemi srebrzą się łodygi, łodygi, łodygi, a przy nich leżą kawony, melony. Leżą na czarnej ziemi zielone... dropiate... czarno-zielone... biało-zielonawe... melony... kawony... Upał. Ziemia jest tak rozgrzana, że nie można po niej stąpać bosą nogą, nie można nawet dotknąć jej palcami. Pod szalaszami i wszędzie dokoła leżą skórki melonów, kawonów; walają się rozdeptane i zgniłe owoce... A w każdym szalasiu tysiące szerszeni; — wciskają się pod skórki melonów. Chmara czerwonych i złotych pierścieni, zielonkawych skrzydeł, stalowych błysków to opada raptem na melony, to wznosi się szybko ku górze. Czasami jakiś szerszeń zapuści trąbkę w miąższ melona i siedzi tak bez ruchu od rana. Około południa chowa nareszcie trąbkę, przeciąga się swobodnie, odbywa spacer po melonie, przysztaje, przednimi łapkami długo i sumiennie wyciera łepkę i skrzydła, po tym spręża się w sobie, jakby zmarł na chwilę. Wtem odlatuje i znika nam z oczu błyskawicznie.

Rano i w południe, gdy słońce dopieka i wszystko dokoła aż dyszy z gorąca i prześiąknięte jest ciężkim zapachem melonów, wtedy odpadki i skórki owoców pokrywają się szerszeniami, które mienią się na nich żółto... czerwono... zielono...

Ech! Niech się dzieje, co chce!

Szerszeń oszalał. Słysząc go, lecz prawie nie widząc. Gałązka, na której siedzi, zgięła się na wietrze, za chwilę dosięgnie wody. Szerszeń zmoczy sobie skrzydła, wpadnie do wody, utonie... Nic go to nie obchodzi! Buczy, zagniewany na śmierć.

Nie można dotykać czerwonych szerszeni. To najzłośliwsze stworzenia. Czasami dzieci wrzucą coś do gniazda. A wtedy — ratuj się, kto może! Szerszenie puszczają się w pogoń i ścigają tak długo, aż dopadną wroga. A w gnieździe — sądny dzień...

Siedzące na owocach szerszenie oblewa się wrzątkiem. Nie giną. Nie mogą wprowadzić latać na oparzonych skrzydłach, lecz żyją jeszcze w ziemi, pod korzeniami melonów.

Spróbujcie przeciąć szerszenia w pół, w tym jego cieniutkim pasie. Natychmiast z odwłoku wysunie się żądło. Szuka kogo by ukłuć. A głowa i korpus odlatują — jak gdyby nigdy nic, jak gdyby mogły istnieć bez odwłoku. Dziwnie wygląda taki szerszeń. Jak przetrącony. Ale w jego oczach jest smutek, większy od smutku człowieka, który utracił nogi i żyje, czołgając się na brzuchu.

Ech! Niech się dzieje, co chce!

Ty cholerniku, ty wredne nasienie, co ty wyprawiasz?! Huczysz, jak odrzutowiec!

Powierzchnia wody zmarszczyła się lekko. Błyska i drży. Ryby gonią się z takim zapalem, jakby się miały pozjadać. Na przedzie mknie najmniejsza. Z pasją goni ją stado drobiazgu. No, niech ją tylko pochwyca!... Gorąco. Woda aż kipi. Jakby miała za chwilę zamienić się w gaz i wyparować. A szerszeń wścieka się i buczy, szerszenia prawie nie widać. Gałąź zachwiała się nagle. To szerszeń wzbil się do góry. Potem jak grom uderzył o wodę, znów wzleciał w górę. I tak — jak płomienna



wstęga — wzbijał się w powietrze i opuszczał nad wodę, wzbijał się i opuszczał. Okrążał gałązkę, opasując ją czerwoną spiralą.

Ech! Niech się dzieje, co chce!

To tu, to tam! To tu, to tam, szerszeń miota się i szaleje. Czerwona wstęga ognia skraca się i wydłuża, spada na wierzbę, to z wierzby na ziemię, przywiera do korzeni, zawisa na gałęzi. Chwilami zwija się i rozwija na błękitnym niebie — jak pajęczyna — czerwona nić płomienia. Szerszeń atakuje, uderza tułowiem w pień drzewa, w kamienie, w ziemię, już myślisz, że się przylepi gdzieś na dobre, że już rozbity na miazgę, gdy za chwilę wdziera się jak oszalały w zieleń, wdziera się w błękit i w srebro, czerwonym płomieniem wdziera się w przejrzystość i w blask i tam wiruje... wiruje... wiruje...

Ech! Niech się dzieje, co chce!

W pewnej chwili za znikającym szerszeniem pomknęły dwa inne. Teraz migają trzy czerwone wstęgi, trzy czerwone płomienie, to mkną jeden za drugim, to krążą wokół siebie, ciskając błyskawice.

Na tym odludziu buczenie trzech szerszeni zagłusza wszelkie inne głosy. Szerszenie — raz bliżej, raz dalej — zakreślają duże, to znów drobne kręgi. To giną z oczu i słyszą tylko ich buczenie, to znów łagodnie, bez pośpiechu spuszcza się ku ziemi, to znów leniwie wznoszą się ku górze.

Dwa szerszenie złączyły się w powietrzu. Przez chwilę trwały w górze, nieruchome. Podwójna jedność. Zamarłe skrzydła, łapki i tułowia. Teraz opadają powoli. Rozłączają się. Czas jakiś krążą wokół siebie obwążując się. Ten trzeci wpadł w szal. Rzuca się na nie, to tego atakuje, to tamtego. Aż się zakotłowało w powietrzu. Walczą. Wtem dwa szerszenie wzbily się w górę, wysoko, wysoko, aż na tle błękitu widać tylko dwa małe błyski, nie większe od łebka od szpilki, wreszcie zniknęły i one. Trzeci szerszeń krążył nad gałązką wierzbową i szumiące skrzydła rozwiesił nad wodą. Opuszczał się, wachał gałązkę, jakby chciał na niej spocząć i znowu podlatywał w górę.

Ech! Niech się dzieje, co chce!

Szerszeń usiadł wreszcie na swoim dawnym miejscu na gałązce. Wibrowanie skrzydeł wygasło powoli. Staną się one znowu uchwytnie dla oka. Buczenie prawie ucichło, skrzydła znieruchomiały. Zatrzymały się najpierw w pozycji pionowej, potem poziomej, aż złożyły się miękko wzdłuż ciała.

Szerszeń był zmęczony. Drzemał.

Lekki wietrzyk kołysał gałązką, a szerszeń huśtał się na niej powoli. Ciepło. Szerszeń się rozmarzył. Cała jego istota odczuwała teraz błogość i spokój odprężenia.

Nie wiedzieć dlaczego, gałązka na chwilę pograżyła się w wodzie.

Ech! Niech się dzieje, co chce!

Szerszeń został na wodzie. Płynie. Jego cień, pięć razy większy od niego samego, sunie po dnie. Szerszeń chce się ratować. Trzepocze mokrymi skrzydłami, buczy, rozpryskuje wodę, ale nie może podfrunąć. Nie może.

Przez pewien czas biciem skrzydeł utrzymywał się na powierzchni aż wpłynął pod most. Widać w cieniu zabrakło mu sił, bo rozciągnął się bezwolnie na fali. Leżał na prawym boku, prawe skrzydło pograżyło się w wodzie. Lewe było mokre, ale sterczało nad wodą jak miecz. I tak już pozostało.